

M. STAWISZ.

GORĄCZKA ZŁOTA

POWIEŚĆ

13

I.

Wsparta na ramieniu swojego towarzysza, Wikta Szulcówna przechodziła obok ławki, mierzając ją pogardliwym spojrzeniem.

Krew zakipiła w Kazi! Tego już było za dużo! Na rozprężone jej nerwy złościwość ta spadła jak bryzgnięcie lawy gorącej, rozpalając krew w jej żyłach do szału! Nie! Tego upokorzenia, tego wstydu przenieść nie jest w stanie! Ona miałaby się stać pośmiewiskiem, celem szyderczych żartów i kłamiwej litości!

Drobny jej mózg stanął nagle przed faktem, z którym spokojnie, logicznie zgodzić się nie umiał. Już nie o tamto chodziło, o ten cios, który godził w jej wiarę, wstyd i miłość własną kobiety, bo o sercu nie mogło być mowy — tylko teraz o ten policzek upokarzający, wymierzony z rozmysłem ręką tej znienawidzonej Wikty Szulcówny! Niekiedy w umysłach małych, niedostatecznie myślowo rozwiniętych, zadrażnienie lekkie większy wpływ wyrzucić może, niż głęboka, bolesna rana.

Kazia nie była już w stanie rozumować. Ogarnął ją szal bezsilnej wściekłości, mącąc wszelkie myśli i pojęcia. Już teraz, każdy jej czyn, każdy jej odruch myślowy, nie kontrolowany mózgiem, mógł być tylko nakazany jakimś głuchym instynktem, w którym wola jej i świadomość nie mogły brać żadnego udziału.

Tymczasem Gawlikowa w oczekiwaniu na córkę, chmurna i bez humoru, zaczęła się zabierać do przygotowania obiadu. Skryty niepokój nuriował ją, choć przed Kazią i mężem nie zdradzała się ze swoimi obawami.

Była tak zajęta myślą, z czym Kazia powróci do domu, że Olearczykową, która przybiegła po świeże wiadomości, zbyła opryskliwie i poprosiła wyprosiła z kuchni, tłómacząc się brakiem czasu na rozmowę.

Okolo godziny dwunastej zadzwoniono silnie do mieszkania. Gawlikowa pospieszyła otworzyć.

Stała przed nią Kazia zmieniona, blada, wsparta całym ciężarem ciała na jakimś młodym nieznanym mężczyźnie.

— Jestem doktorem — rzekł, wprowadzając Kazię do przedpokoju. — Córka pani zachorowała. Niech pani natychmiast przygotuje łóżko i rozbierze ją. Proszę się uspokoić, najgorsze już minęło.

Gawlikowa osłupiała.

— Co się stało? Kaziu! co się stało? — szepnęła, obejmując córkę przerażeniem i nadzieją, domyślając się od razu, że poszukiwanie Francuza nie odniosło dobrych rezultatów.

Kazia, czepiając się ścian rękami, przeszła do pokoju, nie wyrzekłszy ani słowa. Ból i osłabienie malowały się na jej twarzy. Z oczu jej przygasłych, bez wyrazu, nic nie było można wyczytać.

Kiedy ułożono ją do łóżka, Gawlikowa zwróciła się niecierpliwie do doktora.

— Niechże mi pan powie, co jej jest. Wyżłota całkiem zdrowa z domu...

— Córka pani wypila jodyny... nie wiem, co ją skłoniło do tego — znaleźli ją zemdloną na ławce na plantach. Ktoś odprowadził na pogotowie... Poczyniłem pierwsze potrzebne zabiegi i odwoziłem ją na jej życzenie tutaj.

— Napila się jodyny! — krzyknęła Gawlikowa, pochylając się nad łóżkiem. — Kaziu! Co to ma znaczyć! Mówże, bo mi się już w głowie miesza. Chciałaś się otruć, co? Więc ten...

Urwała pod rozkazującym spojrzeniem Kazi, która uniosła zmęczone powieki i ręką uczyniła jej znak, by milczała...

— Niech się pani nie obawia — pospieszył z zapewnieniem młody lekarz. — Na szczęście wyciąg jodyny był bardzo słaby. Skończyło się na lekkim poparzeniu gardła i wnętrzości. Za dwa dni śladu po tem nie pozostanie. Niech pani nie zmusza córki do mówienia i daj jej co godzinę trochę ciepłego mleka. Więcej nie potrzeba.

Zbadawszy jeszcze puls Kazi, wyszedł, odprowadzony do przedpokoju przez Gawlikową, mrużącą jakieś niezrozumiałe słowa.

Kiedy po chwili powróciła do pokoju, gniew jej i niepokój wybuchnęły gwałtownie. Nie mogła się już powstrzymać. Te parę minut przymusowego milczenia kosztowały ją nie mało!

— A więc to tak! — syknęła, patrząc niechętnie na Kazię — truć się chciałaś! I dlaczego? odpowiadaj zaraz! Słyszysz! Na tyle mówić możesz! Czyś ty oszalała dziewczyno! Taki mi wstyd robić? Gadać zaraz, co jest z Francuzem?



— Wyjechał! — powtórzyła Gawlikowa, dygocząc z wściekłości. — Wyjechał! prosił i pannę zostawił na lodzie!

— Wyjechał! — szepnęła Kazia z trudem, zagłębiając twarz w poduszkach.

— Wyjechał! — powtórzyła Gawlikowa, dygocząc z wściekłości. — Wyjechał! prosił i pannienkę zostawił na lodzie! Takaś go pewna była! Ani słowa nie dałaś powiedzieć! Według swojego rozumu wszystko robić chciałaś... I teraz co! Wstyd! skandal! Trujesz się jak porzuciona, uwiedziona dziewczyna. Na pogotowie cię obcy ludzie prowadzą! Całe szczęście, że cię tu karetką nie odwieźli! Cała Nowa Wieś trzęsłaby się od gadania! Wszystkie kumoszki by się zleciały jak na jarmark i dopiero gadanie, uragowisko gotowe! Taki skandal! taka hańba! I to wtedy, kiedy dzięki mojemu sprytowi ludzie uczyniają nas szanować i za coś mieć! Czyś ty rozum już całkiem straciła, dziewczyno! Dać się nabrać, jak pierwsza lepsza dziewczyna z ulicy!... Oh! Boże! Boże! — jęknęła, opadając bez sił na krzesło — kłoby pomyślał! kłoby pomyślał! I co teraz będzie — co? Ludzie języki rozpuszczają... sama Wikta Szulcówna...

— Ah! dosyć mamol! dosyć! — zbuntowała się Kazia, dźwigając się na poduszkach. — Niech mama tej żmii nie wspomina, bo gotowam drugi raz tak zrobić. Jeszcze się opamiętać po tem

wszystkiem nie mogę... Ah! Boże! jaka ja jestem nieszczęśliwa! — wybuchnęła płaczem.

Serce rozciągało w Gawlikowej.

Usiadła przy Kazi na łóżku i objęła ją ramieniem.

— No, no, uspokój się! stało się złe, to prawda, ale niema jeszcze o co takie historie wyprawiać! Jak człowiek pieniądze ma, to wszystko się samo układa! Jeszcze nie Francuza, ale hrabiego mieć będziesz, już w tem moja głowa!

— Oh! mamol! mamol! — westchnęła głęboko Kazia — żeby tylko się nikt nie dowiedział, bo nie przeżyję tego...

— Postaram się o to... ojca biorę na siebie... nie ty pierwsza, co zrywasz z narzeczonym... Olearczykową wyuczę, jak ma mówić, żeby do Szulców doszło... jeszcze ci się Wikta pierwsza kłaniać będzie... Ale pamiętaj, teraz ja ci męża szukać będę... Już jak go z mojej ręki dostaniesz, to możesz być spokojna, że będzie taki, jak potrzeba. Teraz napijesz się mleka i staraj się zasnąć, bo wyglądasz jak nieboskie stworzenie. Urody swojej pilnuj, bo i na to się ludzie biorą. Całe szczęście jednak — zwróciła się od progu kuchni, że ta jodyna nic waria była, prawdziwy „erzatz“ wojenny! Choć raz się na coś to przydał! Byłabyś dopiero nam narobiła!

V.

Tymczasem nadeszła wiosna. Ogrody i planty pokryły się jasną zielenią i różnobarwnym kwiecieniem. Jasnymi plamami znaczyły się wytworne, bogate toalety kobiet, rozsiadających się jak barwne motyle pod werandami najmodniejszych kawiarni, rozbrzmiewały głosy, podniecone wybuchy beznamiętnego śmiechu, pałały spojrzenia wyzywające, pewne swojego uroku i potęgi.

Miasto, a właściwie pewna sfera ludzi, używała w całej pełni całego przepychu szczodrościwej wiosny i sytego spokoju niefrasobliwego jutra. Gdzieś tam tylko pośród twarzy zaróżowionych zadowoleniem, pośród kosztownych, bijących w oczy strojów, francuskich modeli ekscentrycznych kapeluszy, przesunęła się szara, skromna sylwetka, błysnęła twarz wybladła o wytwornych, szlachetnych rysach, padło spojrzenie głębokich oczu, przyćmionych mgłą smutku i gorzkości... Ale była to tylko maleńka plama, mało znaczący dysonanans, na który nikt nie zwracał uwagi.

Roześmiana, dobrze odżywiona żona czy córka potężnego finansisty i paskarza, błyskając kolą brylantową lub licznymi pierścieniami, wiązającymi krótkie, tłuste palce, pochylała się tylko ku towarzysze, szepcząc coś z drwiącym, ironicznym uśmiechem, wysyłając za znikającą szarą sylwetką spojrzenie nabrzmiałe wyzywającą dumą, w którym jednak bacniejszy obserwator dostrzec by mógł odcień

ukrytej zazdrości i niechęci.

I życie znowu płynęło dalej wszechwładną, różnorodną falą, dla jednych dobroliwie i łaskawe, dla innych zaś zimne, obojętne i wrogie.

Dla rodziny Gawlików chwilowy kaprys losu okazał się bardzo wspólnym interesem.

Gawlik, porwany wirem szumiącym wokół niego, oszołomiony, trawiony ciągle podsyconą przez żonę gorączką ambicji i wzniesienie się za jakąś cenę ponad poziom zwykłego zjadacza chleba, przystępował do urzeczywistnienia coraz to nowych, złotodajnych interesów.

I wiodło mu się nieźle na razie.

Dnie całe spędzał po kawiarniach, które w owym czasie stały się rynkiem zbytu wszelkiego kupna i sprzedaży, mało pokazując się w domu, gdzie Gawlikowa z Kazią oczekiwały niecierpliwie na niego.

Już teraz Gawlik nie był ostatnią, lecz pierwszą osobą w rodzinie. Gawlikowa słodka, nadskakująca, kręciła się koło niego, czujna na najlżejszy objaw zniechęcenia z jego strony, podtrzymując w nim umiejętnie niezdrową gorączkę i energię, rzucając ciągle przed jego oczy coraz to nowe, nęcące obrazy rozkosznej przyszłości.

(Ciąg dalszy nastąpi).